***Polemika z cyklem
reportaży Ziemowita Szczerka
(„Polityka”, nr 27–29, 31–34, 2014)***

MARCIN TUJDOWSKI

Instytut Zachodni im. Zygmunta Wojciechowskiego w Poznaniu

DOI: <https://doi.org/10.26774/rzz.214>

01/2017

**ROCZNIK
ZIEM
ZACHODNICH**

Publikacja dostępna na licencji **Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowe**. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz autorów. Zezwala się na wykorzystanie publikacji zgodnie z licencją – pod warunkiem zachowania niniejszej informacji licencyjnej oraz wskazania Ośrodka „Pamięć i Przyszłość” jako właściciela praw do tekstu.

To niewdzięczne zadanie, aby polemizować z cyklem artykułów pisany z zamiarzenia w lekkiej, urlopowej, a miejscami prześmiewczej manierze. Trudno, ponieważ stawia to autora polemiki przed ryzykiem posądzenia o koturnowe tony, a przecież nie wypada kopiować konwencji żartu w polemice. To zagrożenie zmniejsza chyba jednak wymowa tekstów Szczereka. Albowiem pomimo lekkiego stylu, autor pisze o sprawach ważnych, a reportaże zawierają cenne spostrzeżenia natury socjologicznej.

Ziemowit Szczerek dał się już poznać w innych publikacjach jako osoba, która zna tematykę Ziemi Zachodnich i Północnych. To, co cenne w reportażach zamieszczonych w „Polityce”, to fakt, że Szczerek rzeczywiście zadał sobie trud spenetrowania ziem, o których pisze. Szczególnie ujął mnie opis wsi Witaszkowo i pamięci miejscowych o polskich powojennych osadnikach z Rumuni („Polityka”, nr 27). Wychowałem się w regionie Ziemi Zachodnich, gdzie osiedlili się również Polacy z Bukowiny, i moje doświadczenie w pełni potwierdza obserwacje Szczereka. Trudno w to uwierzyć, ale jeszcze w latach 80. ubiegłego wieku stygmatyzowanie niektórych mieszkańców jako „rumunów” było żywe. Komentując wizytę w okolicach Gubina, autor użył określenia „madmaxowska postapokalipsa” (ten sam numer „Polityki”). Owszem, ale to ma swoje uzasadnienie i wystarczyło zasięgnąć języka, aby to ustalić. Nad okolicą Gubina (w tym odwiedzonego przez Szczereka Starosiedla) od lat wisi widmo utworzenia odkrywkowej kopalni węgla brunatnego. Oznacza to konieczność wysiedlenia ponad trzech tysięcy ludzi z okolicznych wiosek, przy czym mieszkańcy już wiedzą, że nie mogą liczyć na pełne odszkodowanie za domy i gospodarstwa, bo te zostały przez inwestora uznane za zamortyzowane (osobiście uczestniczyłem w zebraniach mieszkańców organizowanych przez gminę Gubin). Z tego powodu na tym obszarze po prostu nikt nie inwestuje ani niczego nie remonuje. Zatem apokalipsa zawita tam dopiero razem z kopalnią odkrywkową.

Mimo generalnie wielu trafnych obserwacji autor nie ustrzegł się przed stereotypami. Przede wszystkim widzimy, że każdemu reportażowi z tego cyklu towarzyszyła nadrzędna teza, którą można streścić następująco: w warstwie estetyki i kultury materialnej Polacy nie poradzili sobie z przyswojeniem i zagospodarowaniem Ziemi Zachodnich i Północnych. Szczerek z lubością (nad)używa określeń, takich jak „szyldoza”, „postapokalipsa”, „kiczoza”, „polski oberek szyldów, reklam i chaosu” itd. Szczególnie zawzięcie atakuje polskie „płoty” i „budy”, które są chętnie wzmiankowane w reportażach. Zapewne jest to prawdziwa diagnoza, ale to nie jest obrazek przypisany wyłącznie Ziemiom Zachodnim, a – niestety! – jest to element krajobrazu, jak Polska długa i szeroka. Do tego nie jest to obraz kompletny, a jedynie wyimek rzeczywistości. Podobnie zresztą, jak często przywoływani w opisach miejscowi „dresiarze”. Oczywiście w obliczu faktów trudno z takim przesłaniem polemizować. Przeciętnego polskiego podróżnika zwala z nóg kontrast estetyczny między odnowioną w cukierkowo-mieszcząnskim stylu starówką Görlitz a topornie przaśnym Zgorzelcem, dodatkowo „obdarzonym” najbrzydszym w Polsce zrujnowanym dworcem kolejowym. Niewątpliwie to przemawia na korzyść Niemiec. Można wszędzie na pograniczu zestawiać ładne budynki z Niemiec z tymi z Polski. Ale to zbyt łatwy trop. Trzeba uczciwie powiedzieć – stało się tak w znacznej mierze dzięki gargantuicznym środkom wlanym z zachodnich Niemiec do nowych landów po 1990 r.

Wcześniej, u schyłku NRD, infrastruktura, zwłaszcza zabytkowe centra miast, została doprowadzona do stanu katastrofalnego. W 1990 r. w dużych miastach, takich jak Drezno czy Chemnitz, jedna trzecia mieszkań nie posiadała własnej łazienki, a jedenaście procent mieszkań uważano za niezdatne do zamieszkania z powodu zużycia budynków, w których się znajdowały, głównie starych kamienic, których programowo w NRD nie remontowano (podaję za Jürgenem Friedrichsem, autorem *Stadtsoziologie*). Stefan Woelle we *Wspaniałym świecie dyktatury* opisywał realia schyłkowego NRD, kiedy to porzucanie zrujnowanych mieszkań i przenoszenie się do pustostanów było częstą praktyką. Sam pamiętam, że na początku lat dwutyśecznych starówki Görlitz czy Budziszyna były pełne zrujnowanych budynków. Zresztą wystarczy trochę zboczyć z głównych ulic, by nawet dzisiaj dostrzec pozostałości starego zaniedbania. Życie na pograniczu pozwoliło mi na sformułowanie tezy, że we wschodnich Niemczech upadek społeczny zupełnie nie znajduje odzwierciedlenia w stanie infrastruktury. Nawet przeciwnie, im mniej życia, tym ładniejsze dekoracje.

Na fali zjednoczeniowej euforii kanclerz Helmut Kohl wygłosił w przemówieniu znane słowa: „dzięki wspólnemu wysiłkowi uda się nam wkrótce przekształcić Meklemburgię-Pomorze Przednie i Saksonię-Anhalt, Brandenburgię, Saksonię i Turynię w kwitnące krajobrazy (*blühende Landschaften*), gdzie warto żyć i pracować”. Kanclerz Kohl wygłosił te słowa 1 czerwca 1990 r., akurat w Międzynarodowy Dzień Dziecka, czemu być może te słowa zawdzięczają pewną uroczą naiwność. Za romantycznymi „kwitnącymi krajobrazami” – wyraźnie podziwianymi przez Ziemowita Szczěrka – stoją jednak konkretne środki. Jak obliczyli ekonomiści z berlińskiego Freie Universität, od momentu zjednoczenia każdego roku zachodnie landy przekazywały 100 mld euro na wschód, co w 2014 r. sumowało się w astronomiczną kwotę ok. 2 bilionów euro. Wraz z tymi środkami administracja „starej” RFN przysłała na wschód armię ponad 30 tys. urzędników, którzy mieli nadzorować podnoszenie wschodu kraju z socjalistycznej zapaści. Mieszkańcy wschodnich Niemiec złośliwie wspominali czasem o kolonizacji przez zachodniego, bogatego sąsiada, a proces zjednoczenia, zupełnie na przekór historycznej wrażliwości zachodnich krewniaków, nazywali „Anschluss”. *Nota bene*, system alimentacji doprowadził z czasem do odwrócenia sytuacji – na wschodzie Niemiec odnowiono zabytki i rewitalizowano miasta (projekt odbudowy „Stadtumbau Ost” objął 480 miejscowości na wschodzie!), były NRD przecinają lśniące, nowe autostrady itd. Tymczasem na zachodzie Niemiec z powodu braku środków spadła jakość infrastruktury. W 2014 r. zrozpaczeni premierzy trzech najbogatszych landów wystąpili o likwidację podatku solidarnościowego, pustoszącego budżety zachodnich samorządów.

O ile zatem spełniły się słowa byłego kanclerza o „kwitnących krajobrazach”, o tyle jednak wschodni Niemcy nie podzielali przekonania kanclerza o tym, że są to miejsca warte życia. Wschodni Niemcy zagłosowali nogami. Po 1990 r. łącznie ok. 2 mln osób wybrało życie na zachodzie Niemiec, dopełniając tylko katastrofy demograficznej widocznej już w końcówce czasów NRD. I tutaj dochodzimy do innej, ważnej kwestii, widocznej w reportażach Szczěrka. Zresztą publicysta sam uczciwie o tym wielokrotnie wspomina – polska strona granicy, jakakolwiek by była,

po prostu tętni życiem. Albowiem kicz, barwna przedsiębiorczość i szalejący lokalny wolny rynek są objawami zdrowego unerwienia tych przygranicznych społeczności. Jasne, że czasem prowadzi to do sytuacji wątpliwych moralnie. Szczerek wspomina o neonazistowskich gadżetach sprzedawanych na polskim targowisku. Warto nadmienić, że w 2005 r. odkryto, że neonazistowska gazeta „Deutsche Stimme” była drukowana w zielonogórskiej poligrafii. Owa drukarnia należała do spółki wydającej „Gazetę Lubuską”, organ prasowy wówczas jednoznacznie kojarzony z lewicą, co tylko dodawało sprawie pikanterii. Osobiście widywałem również na przygranicznych targowiskach stoiska z memorabiliami służących do kultywowania *Ostalгии*, czyli tęsknoty za NRD. Wielokrotnie bywałem w Gubinie i w Guben i mam zupełnie odmienne wrażenia niż Ziemowit Szczerek („Polityka”, nr 27). Nie ma aż tak dużego przeskoku między obydwoma brzegami Nysy Łużyckiej. W centrum niemieckiego (i wyludnionego) Guben od lat obserwuję przyrost pustostanów, w których wcześniej były sklepy bądź lokale usługowe. W dodatku tuż przy samej granicy, w pobliżu granicznego mostu urządzono stałą wystawę przypominającą o tym, że teraz tu jest granica z Polską, ale kiedyś to był jeden wielki niemiecki powiat (gdyby ktoś miał wątpliwości, granice powiatu nakreślono na dużej mapie naniesionej na szybie wystawowej, z pieczołowicie przypomnianymi niemieckimi nazwami miast po polskiej stronie granicy). Każdy Polak przechodzący przez most graniczny musi zobaczyć tę mapę. Silnie kontrastuje to z opisywaną pobieżnie przez Szczereka rzeczną wyspą. Kontrastuje, bo na wyspie (na której stał niegdyś teatr) Polacy nie mają problemu z upamiętnieniem wielkiej gubeńskiej aktorki Corony Schröter, przyjaciółki Goethego. Szczerek o tym nie wspomina.

Fot. 1. Świeżo wymalowana mapa przedwojennego powiatu Crossen an Oder tuż przy przejściu granicznym do polskiego Gubina. Fot. M. Tujdowski

Fot. 2. Gubin. Fragment dwujęzycznego upamiętnienia Corony Schröter po polskiej stronie granicy.

Fot. M. Tujdowski

Szczerek niestety powierzchownie zwiedził Guben, koncentrując się na starym centrum. Píše o polskich blokowiskach, co nie jest do końca prawdą. Po polskiej stronie znajduje się zaledwie kilka niskich bloków mieszkalnych (co przecież łatwo zweryfikować za pomocą zdjęcia lotniczego ilustrującego tekst Szczereka w „Polityce”) i daleko im do autentycznych dużych blokowisk stojących w głębi Guben. Na jednym z tych gubeńskich blokowisk w 1999 r. neonaziści ścigali i doprowadzili do śmierci 28-letniego Algierczyka (wykrwawił się, wisząc na rozbitych szklanych drzwiach bloku). Jego kolega przeżył, ponieważ po uderzeniu w głowę stracił przytomność i atakujący go uznali, że już nie żyje i nie ma potrzeby dobijania go. W głębi polskiego Gubina upamiętniono dawną synagogę, zniszczoną przez Niemców w czasie Kryształowej Nocy. Na miejscu są tabliczki w językach polskim, niemieckim oraz jidysz. Tylko niemiecka tabliczka została zniszczona z pasją (konstrukcja upamiętnienia wymagała użycia siły), jakby ta pamięć komuś przeszkadzała. Także w Görlitz czy we Frankfurcie nad Odrą wielokrotnie dochodziło do parad niemieckich neonazistów tuż przy polskiej granicy. W Görlitz nawet jeden z neonazistów startował w wyborach na burmistrza miasta. Antypolskie plakaty i ulotki są normą na obszarze pogranicza. Neonazistowska partia NPD legalnie działa w lokalnych samorządach. Być może w Polsce nad graniczną Nysą Łużycką straszeni „dresiarze kręcą się między drzewami” (znowu „Polityka”, nr 27), ale trzeba przyznać, że takie „atrakcje” są nam zupełnie obce i tego typu incydenty jakoś nie chcą się pojawić po polskiej stronie granicy. Ziemowit Szczerek we wrażeniach z sudeckiej Bystrzycy Kłodzkiej pisze o „północnej agresji i wulgarności” Polaków. To tylko część rzeczywistości. Jak zatem zakwalifikować zachowanie młodych Niemców, którzy w styczniu 2014 r. urządzili sobie nazistowski *Parteitag* w schronisku Strzecha Akademicka w Karkonoszach? Według relacji, młodzi Niemcy śpiewali nazistowskie songi, Polaków wyzywali od świń, a polskiego turystę tak pobili, że ów doznał szoku i uciekł

na boso do pobliskiego Karpacza (zob. R. Święcicki, *Strzecha Akademicka: Neonaziści z Niemiec pobili Polaków w schronisku w Karkonoszach*, artykuł na portalu karpacz.nasze.miasto). Dlaczego o tym wspominam? Aby pokazać, że rzeczywistość na pograniczu polsko-niemieckim nie jest tak jednoznaczna, jak w artykułach Szczereka, gdzie role są już rozdane i tymi złymi są wiecznie zacofani i niepoprawnie katoliccy Polacy.

Podobne zjawisko wyludnienia można wyraźnie zaobserwować na styku Świnoujścia i Ahlbeck („Polityka”, nr 33). Szczerek dosyć oględnie obszedł się ze Świnoujściem – przyznaje, że jest nieco ładniej niż gdzie indziej, ale bez przesady, autor zachował czujność, bo „Polska to jednak Polska i cudów nie ma” (tamże). Sąsiadujące z Polską Ahlbeck postanowiło wyzbyć się sznytu enerdownskiego wczasowiska (w centrum miasteczka kłuje w oczy pomnik radzieckich żołnierzy) i cofnęło się estetycznie o sto lat. Dzisiaj Ahlbeck oraz sąsiednie miejscowości kreują się na „ce-sarskie kurorty” (*Kaiserbäder*), a kreację tę wspomaga perfekcyjny marynistyczny sztafaż (biało-niebieskie pensjonaty jak z bombonierki, staromodne kosze plażowe itd). Tylko, znowu, brak tu ludzi. Jest coś, co przyciąga tłumy niemieckich turystów do polskiej Tijuany w Świnoujściu i w Międzyzdrojach. Czy tylko cena? Niekoniecznie. Od pewnego czasu na niemieckich forach internetowych pojawia się hasło wyboru swojskiej Polski jako dobrego miejsca na urlop. Naszym atutem jest bezpieczeństwo. To dlatego w centrum Międzyzdrojów na gigantycznym placu zabaw dla dzieci język niemiecki czy szwedzki słychać prawie tak samo często, jak polski. To samo widać w np. Karkonoszach – miejsce emerytów zza zachodniej granicy coraz częściej zajmują niemieckie rodziny z dziećmi. Poza tym byłoby dużą niesprawiedliwością nie zauważać, że wspomniane miejscowości w ciągu kilku ostatnich lat podciągnęły się estetycznie.

Mój zdecydowany sprzeciw budzi relacja autora ze Świebodzina („Polityka”, nr 28). Szczerek pisze:

A za symbol nowej cywilizacji, tej, która przyszła, robi właśnie sterczący nad miastem Jezus. Biały niczym Pałac Kultury zaraz po zbudowaniu; symbol nie tyle polskiej mocy, ile niemocy właśnie. Wielki symbol polskiej klęski, polski wrzask, że, w porządku, może i nie możemy sobie poradzić z tym, co pozostawili Niemcy, ale za to wbijemy w błoto taki totem, jakiego świat nie widział.

Niezależnie od tego, jak oceniamy walory estetyczne, nazywanie figuratywnego przedstawienia Jezusa Chrystusa „totemem” jest wysoce niestosowne. Totem to określenie jednoznacznie zarezerwowane dla religii animistycznych i wyobrażeń ludów pierwotnych. Oczywiście, autor nie zapomniał o „błocie”, gdyby sam „totem” nie wystarczył. W tym samym Świebodzinie, nad autostradą góruje poniemiecka dawna Wieża Bismarcka (Szczerek o niej nie wspomina). Wybudowana przez tych wyrobionych estetycznie niemieckich mieszkańców, po których my nie potrafimy „ogarnąć niemieckiej rzeczywistości” (cytat z „Polityki”, nr 31). Wzniesiona jako triumfalny symbol germańskiego szowinizmu, przy którym palono w specjalnej misie „święty” ogień przy okazji czczenia neopogańskich, nacjonalistycznych obrządków. Czy to nie jest aby właśnie ten totem? No i o jakiej klęsce mówimy? W całej

swojej historii Świebodzin należał do Niemiec przez jakieś niecałe 220 lat. Wystarczyło odwiedzić lokalne muzeum kierowane od lat przez Marka Nowackiego. Muzeum z powodzeniem prezentuje zarówno poniemieckie, jak i powojenne tradycje Świebodzina. Stało się także centrum lokalnej pamięci historycznej, ośrodkiem pielęgnacji pamięci zarówno o osadnikach Ziemi Zachodnich, jak i o znanym, pochodzącym z miasta niemieckim literacie Eberhardzie Schillerze. Zresztą kontakty z tym drugim były kultywowane przez lata, niemiecki pisarz spoczął w 2005 r. na miejscowym cmentarzu.

Ziemowit Szczerek chyba powinien zdawać sobie sprawę, jak ważną integracyjną rolę odgrywała religia w czasie udomowienia tych ziem przez polskich osadników po 1945 r. Pomnik Jezusa Króla zatem nie jest „polskim wrzaskiem”, że „nie możemy sobie poradzić”, ale przeciwnie – znakiem, że wrośliśmy w te ziemie, na które nie przenosiliśmy się zresztą z naszej woli. Oczywiście domyślam się, że miejsce publikacji (lewicowy tygodnik) również ma swoje znaczenie i takie wyładowanie na polskim katolicyzmie po prostu musiało się wcześniej czy później tam pojawić. W Żarach autor widzi tylko „poczucie tymczasowości”, którym Polska „przykrywa swoją cywilizacyjną porażkę” („Polityka”, nr 32). Dziwne, bo przecież na zdjęciu ilustrującym artykuł widać żarski rynek z ławeczką-pomnikiem Georga Phillippa Telemanna, wielkiego niemieckiego kompozytora okresu baroku. Telemann w latach 1705–1708 był kapelmistrzem, miał również związki z Polską i polską kulturą. Żary są dumne z tej postaci. Oprócz postawienia zgrabnego pomniczka, w mieście odbywają się Festiwale Telemanowskie, funkcjonuje szkoła muzyczna imienia Telemanna. Czy ludzie żyjący w poczuciu tożsamości i cywilizacyjnej porażki pochylaliby się z taką troską nad takim dziedzictwem?

Fot. 3. Żary. Upamiętnienie Georga Phillippa Telemanna na żarskim rynku. Fot. M. Tujdowski

Z wieloma obserwacjami życia codziennego Ziemi Zachodnich poczynionymi przez Ziemowita Szczereka można się tylko zgodzić. Jedyne, co w nich razi, to ich interpretacja wyraźnie prowadzona w jednym kierunku. A szkoda, bo autor ciekawie operuje słowem pisanym. Szczerek co prawda tu i ówdzie nie szczędzi złośliwości pod adresem Niemców na pograniczu – ale to drobiazgi. Cała negatywna wymowa reportaży z tego cyklu jednoznacznie obciąża polskich mieszkańców naszych zachodnich kresów, którzy nie tylko nie dorastają do pięt Niemcom, ale nawet Czechom i Litwinom (o czym dalej). Nie tylko chodzi o wspomniany już totalny brak estetyki w okiełznaniu krajobrazu. Szczerek postanowił jeszcze spiętrzyć parę detali, żeby dociążyć i tak już czarny obraz Polaków. Na przykład, Polscy mieszkańcy Sudetów nie potrafią się po nich poruszać, byli zbyt prości, żeby nazywać góry po swojemu, więc nazywali je „pierwsza góra”, „druga góra” itd. w tym duchu (autentycznie, tak pisze Szczerek! *vide* „Polityka”, nr 31). No chyba, że są to oświeceni „dolnośląscy górolazi”, ci to używają nazw z „niemieckich przedwojennych przewodników” (tamże). Autor opisał, jak to w Kłodzku dwóch turystów (obowiązkowo w sandałach i skarpetach) opowiadało sobie o „smoleńskim spisku” (tamże). Te nonsensowne obrazki są tak przerysowane pod jedną tezę, że trudno uwierzyć w ich prawdziwość. Ba! Nawet Litwini w przeciwieństwie do Polaków „nauczyli się te swoje drewniaki nowocześnie adaptować i nie zaśmiecać sobie kulturowego krajobrazu ceglanym chłamek”. Czyżby, panie Ziemowicie? Mam odmienne doświadczenia, a wywodzę je z moich rowerowych peregrynacji na pograniczu polsko-litewskim i wyjazdów hen aż po Olitę (Alytus) i Kierniów (Kernave). Otóż właśnie to, co rzuca się w oczy w architektonicznym krajobrazie przeciętnej litewskiej wsi, to wszechobecna, postsowiecka biała bądź żółtawa cegła.

Nie zabrakło alkoholu. Polscy lokalni urzędnicy prowadzą dysputy obowiązkowo przy wódce i herbacie w duraleksie – w przeciwieństwie do ich oświeconych niemieckich odpowiedników, którzy robią to przy szparagach („Polityka”, nr 34)! Bądźmy uczciwi. Reportaże Ziemowita Szczereka z Ziemi Zachodnich i Północnych są bardzo ciekawe, wnikliwe, a jednocześnie obarczone na siłę antypolskim stereotypem. Polsce mieszkańcy owych ziem jawią się jak wirus, albo lepiej – jak termity, które podgryzają ponemiecką tkankę architektoniczną i jedyne co potrafią, to wstawianie swoich niezgrabnych termitier do tego obcego dla nich krajobrazu kulturowego. Wybitny znawca problematyki Ziemi Zachodnich, profesor Zbigniew Mazur, napisał niegdyś, że ludzie, którzy osiedli na tych ziemiach po wojnie wytworzyli swoją tożsamość, która jest mariażem bagażu kulturowego przywiezionego ze swoich rodzinnych stron wraz z napotkanym na miejscu niemieckim dziedzictwem materialnym. Szczerek nie rozumie tego procesu, nie widzi tej subtelnej syntezy, a tym samym stara się rozdzielić te dwie warstwy.

Niezwykłe wymowny był przytaczany wcześniej fragment o turystach rzekomo sięgających bezpośrednio do ponemieckich przewodników z braku polskiego nazewnictwa. Nie wiem, czy ta parabola była zamierzona, ale świetnie oddaje ogólną myśl tych reportaży. Po prostu Ziemowit Szczerek nie dopatrzył się literalnie żadnych osiągnięć, żadnego dorobku kulturowego czy cywilizacyjnego czterech pokoleń żyjących na „Odzyskach”, jak nazywa te ziemie. Do 1945 r. kwitła tutaj cywilizacja,

a potem nadszedł ze wschodu „radosny, barbarzyński taniec na trupie pokonanej cywilizacji” („Polityka”, nr 27), który trwa do dnia dzisiejszego.

W tekście odnosiłem się do następujących reportaży Ziemowita Szczerka z Ziemi Zachodnich i Północnych z 2014 r.: *Koniec światów nad Nysą Łużycką* („Polityka”, nr 27), *Chrystus nad Zigarettenlandem* („Polityka”, nr 28), *Międzypomorze* („Polityka”, nr 29), *Ziemia Kłodzka: horror w Rurytanii* („Polityka”, nr 31), *Wszystkie warstwy Dolnego Śląska* („Polityka”, nr 32), *Ujście Odry: jedyna polska kolonia* („Polityka”, nr 33), *Poprusie* („Polityka”, nr 34).